

Lidia Amejko

DWADRZEWKO

SZTUKA TELEWIZYJNA

Szpitalny korytarz, a dokładniej to miejsce, w którym po raz ostatni widzimy ciała naszych bliskich. Pod ścianą siedzi Mężczyzna ogarnięty kompletnym stuporem. Zbliża się do niego jakaś postać, zapewne ktoś ze szpitalnego personelu.

POSTAC Proszę pana? Proszę pana! Czy nic panu nie jest? Może odrobinę wody? Ja... ja rozumiem doskonale, co pan teraz czuje, taka chwila... dopada w końcu każdego z nas! Proszę przyjąć wyrazy... Myślę jednak, że powinien pan wrócić do domu, tak będzie najlepiej. Nie może pan tutaj siedzieć bez końca, to nie ma sensu. Niech pan mnie uważnie posłucha: trzeba wrócić! Czasu nie da się cofnąć, ale przecież zawsze można wrócić... D o d o m u! Niech pan wraca!

Mężczyzna szeroko otwiera usta, oddycha z trudem, jakby się dusił. Kamera wjeżdża w czełusć gardła, zapada kompletna ciemność, jak w tunelu. Po chwili z czerni wyłania się zarys okna i Chłopca siedzącego nieruchomo na łóżku. Głos Mężczyzny dobiega spoza kadru.

MEŻCZYŻNA Pewnej nocy, gdzieś między szóstym a siódmym rokiem życia, poczułem, jak Pan Bóg nie nazbyt delikatnie wpycha mi do gardła długą łyżkę do butów i każe mówić: „aaaaaaaaaaaa”.

„Aaaaaaaaaaaaa” – darłem się przerażony, ponieważ łyżka niepostrzeżenie skradała się do żołądka, gdzie już zostanie na zawsze – myślałem z rozpaczą – a ja, rzecz jasna, będę sobie żył dalej z tym czymś w środku i może nawet, ku radości mojej matki, przestanę się w końcu garbić! Łyżka do butów w przetyku, jak wiadomo, nie powoduje śmierci głodowej, a wręcz na odwrót, ułatwia dorosłym karmienie dzieci – jedzenie kroi się w kostkę i w formie małych paczuszek przesyła, jak po zjeżdżalni, wprost do żołądka!

Każdej nocy, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem życia, jak wąły heros walczyłem z przeznaczeniem, które usiłowało wśliznąć się do mojego wnętrza pod postacią metalowej rynienki, takiej samej, która mojemu dziadkowi służyła do wkładania odświętnych oficerki!

To wszystko bardzo mnie zbliżyło do pana Dwadrzewki.

Był ode mnie starszy o jakieś pięćdziesiąt lat, lecz z melancholijnym zrozumieniem odniósł się do moich conocnych zmagani. Od niego dowiedziałem się, że ta ciężka i zimna rzecz w żołądku to nic innego, jak tylko paniczny strach, że oto

wskutek tragicznych okoliczności nie umrzemy razem, my wszyscy, którzy tak bardzo się kochamy, lecz któreś z nas, nieszczęśliwie ocalone, zostanie samo na świecie i będzie odąd musiało żyć z tą swoją samotnością jak z kawałkiem metalu w przelyku.

Pan Dwadrzewko wyznał mi w sekrecie, że prawie od czterdziestu lat nosi w sobie tę dziwną rzecz, choć jemu osobiście zawsze się zdawało, że jest to gładka karabinowa lufa!

Niedzielny obiad. Przy stole siedzą: Matka, Ojciec, Dziadek, Babcia, Teresa i Chłopiec, jedym słowem, „my wszyscy, którzy tak bardzo się kochamy”. Nikt nie zwraca na nikogo uwagi, wszyscy milczą zapatrzeni we własne myśli. Teresa wybuchła co jakiś czas głupkowatym chichotem, Dziadek, nucąc żołnierskie piosenki, przy pomocy pierogów symuluje na talerzu „Cud nad Wisłą”.

CHŁOPIEC Czy...

Teresa wybuchła śmiechem.

BABCIA ... i wtedy ona odpowiedziała mu: „Och, Georges, nie, nie! Przecież wiesz, że cię nie Kocham”. Nie powinna była mu tego mówić!

MATKA A dlaczego? Przecież to bardzo proste: dodaje się szczyptę, ale tylko szczyptę, i ani odrobiny więcej, a proszę, jaka zupka!

DZIADEK (*dłubiąc widelcem w pierogach*) Tu przejście zablokowane, tam też, więc nie pozostaje nic innego, jak uderzyć.

CHŁOPIEC (*zsiada z krzesła, staje przy stole, jest uroczysty*) Czy... nie moglibyśmy umrzeć, razem, wszyscy, na przykład we środę? Środa to taki dobry dzień, akurat pośrodku. (*blagalnie*) Umrzycie we środę! (*nikt nie zwraca na niego uwagi, Chłopiec zaczyna krzyczeć*) Słyszycie? Razem! Umrzycie razem! W środę!

TERESA (*chichocząc*) Ja nie mogę w środę, jestem umówiona. Chyba że w czwartek...

BABCIA (*zmartwiona*) Ale w czwartek jest ten serial. Chyba że po serialu, tyle że wtedy, tak czy owak, nie dowiem się, co będzie w następnym odcinku.

DZIADEK Kochanie, zapewniam cię, że tam będziesz obcować ze wszystkimi przeszłymi, obecnymi i przyszłymi serialami, i to w sposób znacznie doskonalszy niż tu na ziemi.

TERESA Będziesz obcować, Babciu, ze wszystkimi świętymi i... doktorami Kildare'ami.

MATKA Na litość boską, o czym wy w ogóle rozmawiacie. (*zwraca się do Ojca*) Nasz syn jest dzisiaj niezdrow, Kochanie. (*wzdycha*) Boże, on chyba znowu ma coś z gardłem...

Scena jak z niemego filmu – rodzina Chłopca je niedzielny obiad, nagle do pokoju wchodzi nieznajomy. Siada za stołem, mówi coś, mocno gestykulując. Kiedy wskazuje na różne kąty pokoju, wygląda jak Wernyhora z obrazu Matejki.

Głos mężczyzny – spoza kadru.

MĘŻCZYŻNA Mój Ojciec nabył pana Dwadrzewkę wraz z domem, co wyszło na jaw już pierwszej niedzieli po tym, jak wprowadziliśmy się tutaj z całą rodziną, telewizorem i kotami.

Dwadrzewko zajechał przed dom na rowerze i przez werandę, od strony ogrodu, wszedł do pokoju. W szarym kombinezonie, którego nogawki spięte były klamerkami do bielizny, zasiadł za stołem i wznosząc ręce, niczym bładooki siwy patriarcha, zagęścił nasz nienadmierny w końcu metraż tłumem poprzednich mieszkańców. Palcem wskazywał niewidzialne dziewczynki w szkolnych fartuszkach, kłębnych chłopaków, ich matki pochylone nad gamkami w kuchni,

ojców i dziadków. Każdemu nadawał imię, przezwisko lub numer, jak postarzały Adam w Raju, któremu Bóg z litości zostawił skromną domenę Imienia. Dwadrzewko-demiurg uwijał się po domu w roboczym ubraniu, temu lub owemu doczepiając historyjkę, czasem tylko jedno słowo lub gest.

Najdziwniejsze jednak było to, że chociaż z tygodnia na tydzień czuliśmy się coraz bardziej nieswojo, jakby nie u siebie, nikt nie odmawiał panu Dwadrzewce prawa do niedzielnych wizyt. Nikt też nie zapytał, którym z kolejnych właścicieli był Dwadrzewko, gdyż nie wiadomo skąd, wiedzieliśmy od razu, że pan Dwadrzewko z naszym domem jedynie się przyjaźnił.

Ojciec, Matka, Babcia, Dziadek, Teresa i Chłopiec siedzą w milczeniu zapatrzeni w telewizor.

Na tę scenę nałożona jest inna (od tej pory wszystko, co należy do opowiadania Dwadrzewki przedstawione będzie jako półprzezroczysty obraz przenikający normalną rzeczywistość, w której żyje rodzina Chłopca): ten sam pokój, ale inaczej urządzony, meble z przełomu wieków. Wchodzi kobieta z opowiadania Dwadrzewki, ubrana w jedwabny szlafrok. Kładzie się do łóżka. Kiedy już leży, jej głowa znajduje się dokładnie na ekranie telewizora – kobieta uśmiecha się leniwie. W jej uśmiechu jest jednak coś takiego, że Matka zgorszona wyprowadza Chłopca z pokoju.

Znowu niedzielny obiad. Dwadrzewko siedzi za stołem i „zagęszcza”.

DWADRZEWO To Aniela Pierwsza. Urodziła się w stołowym. Tam też zresztą umarła w dwa tygodnie po swoich pięćdziesiątych urodzinach na zapalenie płuc.

CHŁOPIEC (*z niedowierzaniem*) Jest pan tego pewien? To przecież zupełnie fantastyczny pomysł, żeby urodzić się i umrzeć w tym samym miejscu. Ja mieszkalem już w pięciu różnych mieszkaniach, chociaż nie mam jeszcze siedmiu lat...

DWADRZEWO Ależ żarę ci, że nie tylko urodziła się i zmarła w tym samym miejscu, ale również przeszła tam wszystkie swoje choroby i wszystkie miłosne uniesienia, i urodziła Jana Trzeciego, a to dlatego, że tam, gdzie teraz znajduje się wasz telewizor, niegdyś stało czeczotowe łóżko jej babki Celiny.

O, panią Celinę pamiętam dobrze. To była wielka patriotka, cały czas w żałobie. Jeszcze przed pierwszą wojną przemyciła przez kordon pruski słoń z sercem generała Noska, żeby je narodowi zwrócić i w Ojczyźnie pochować.

Słoń, ukryty w halkach pod spódnicą, ścisnęła pani Celina przez całą drogę z Raperswilu, kolanami! I wiecie wy co, państwo szanowni? On nie wytrzymał!!! On pękł, ten słoń z sercem generalskim, a ostre szkło wbiło się w uda dziewczyny.

Pani Celina, och, ona nigdy już do siebie po tym wszystkim nie doszła. Pewnie i dlatego, że się to serce, w całym tym zamieszaniu, na amen gdzieś zawieruszyło! Całymi dniami siedziała potem w fotelu, o, tam, i powtarzała w kółko: „Zgubiłam serce... zgubiłam...”

Ten sam pokój, ale bez Dwadrzewki. Matka pochlipuje, Ojciec chodzi nerwowo wokół stołu, reszta rodziny siedzi osowiała.

MATKA Ciagle się o nich obijam, wygląda na to, że mamy dwa razy więcej dzieci. Ten mały grubasek, Jan Trzeci czy jak mu tam, podglądał mnie wczoraj w łazience!

DZIADEK O, moja droga, on wcale ciebie nie podglądał! To tylko jego pokój został przerobiony na łazienkę. Kiedyś myto się w pokojach, a wodę w dzbanie przynosiła służąca.

BABCIA Ja utraciłam całą radość oglądania seriali – wciąż widzę tę kobietę w czeczotowym łóżku.

TERESA No, pewnie! To dopiero pomysł! Całe życie w tym samym łóżku i może jeszcze z tym samym facetem! Jutro muszę koniecznie przemeblować swój pokój. O, już wiem! Materac położyć pod oknem...

MATKA (*histerycznie*) Chciałaś powiedzieć: barłóg, cholemy barłóg! (*już opanowana, zwraca się do Ojca miękko*) Wiesz, kochanie, już dawno sobie pomyślałam: może tak na stare lata kupilibyśmy sobie... prawdziwe łóżko? Moglibyśmy postawić je o tam, gdzie telewizor... (*milknie przestraszona*)

OJCIEC (*chodzi wściekły naokoło stołu*) Czy wy nic nie widzicie? Zobaczcie tylko, jak ten chłopiec wygląda!

BABCIA (*przyglądając się Chłopcowi*) No, jak? Pokaż się, kochanie! Nic nie widzę.

OJCIEC On robi się coraz bardziej podobny do tego Dwadrzewki. (*do Matki*) Ten nos, zobacz tylko, moja droga, jakiego on dostał nosa! I jak dziwnie zaczął mówić!

DZIADEK Jeżeli idzie o ścisłość, Alfredzie, on mówi z akcentem, jaki przed pierwszą wojną można było usłyszeć w okolicach Gęsiej. (*rozmarzony*) Pamiętam, że kiedy byłem w jego wieku, biegałem do starego Cwajbauma kupować bułki – „wieczorówki”. Mmm, co to były za bułki, co za smak, a zapach...

OJCIEC No, pięknie, pięknie! Okazuje się, że nasz syn, nasz rodzony syn, jest... (*szeptem*) Żydem!!!

MATKA (*placze*) Kochanie, nie wolno ci tak mówić!

DZIADEK (*rozpromieniony powrotem do czasów dzieciństwa nuci sobie nagle przypominaną piosenkę*)

– Ach, wy, Żydkowie, Boga mężczyli!

– My nie mężczyli, tylko tam byli.

BABCIA A co do nosa, to bardzo cię przepraszam, mój drogi, ale to jest nos Babki Kłapczyckiej. (*podchodzi do szafy, wyciąga fotografię i pokazuje Ojcu*) O, popatrz! Nos, faktycznie, jak u tego Dwadrzewki, ale to przecież twoja babka, Alfredzie.

OJCIEC (*blady z wściekłości*) Dobrze, jak sobie chcecie! Ale ostrzegam: jak tak dalej pójdzie, to będziemy musieli znów się przeprowadzać!

Babcia siedzi w swoim pokoju na łóżku i ogląda album ze zdjęciami. Obok niej, w fotelu siedzi półprzezroczysta kobieta, ceruje pościel.

BABCIA (*rozzarowana*) Te wszystkie fotografie... Jaki z nich właściwie pożytek? Żaden! Skazują nas tylko na bezterminową śmieszność! Proszę bardzo, ten grubaś z bacikiem to mój ukochany brat! A przecież jego twarz zmieniała się jeszcze tyle razy. To potworne, jak bezwstydnie panoszy się ta najbanalniejsza z wielu pamięci! A ja już nic innego nie mogę sobie przypomnieć! Nic – oprócz fotografii! Wiesz, kiedyś umierałam z tęsknoty za domem, tym pierwszym, w którym się urodziłam. Umierać z tęsknoty można tylko za pierwszym, wszystkie następne pozbawione są tego czaru.

Ty akurat nic o tym nie wiesz. Szczęśliwa jesteś! Więc, kiedy tak sobie umierałam, dzień po dniu, rok po roku, chodząc do pracy, sprząając, bawiąc się z dziećmi, to wtedy, wiesz, wymyślałam sobie anioła! To był Anioł Miejsca, Angelus Loci. Taki anioł nie zwiastuje radosnego czasu – on jest zwiastunem miejsc, tych na zawsze utraconych, i tak odległych, że nic nie byłoby w stanie ich przywołać. O, bo to jest potężny anioł: jego przestrzenna natura może przyprawić człowieka o zawrót głowy.

Najpierw długo i starannie nasycam miejscem pióra swoich skrzydeł, skórę i szaty. To ważne, bo kiedy później przelatuje nad naszymi głowami, zatrzymujemy się zdziwieni, i wciągając głęboko powietrze, pytamy: „Skąd się wzięła w tym miejscu cukiernia pana Szmadę z ulicy Szkolnej?”

Marzyłam, że któregoś dnia anioł mojego dziecięcego pokoju otoczy mnie swoimi wonnymi skrzydłami, a wtedy...

Babcia zaczyna szlochać. Półprzezroczysta kobieta przerywa pracę i patrzy na nią ze smutkiem. Chyba miałyby ochotę wyciągnąć rękę i pogłodzić Babcie włosach.

Teresa wpada do pokoju, tańcząc posuwicie tango – sama. Wygina się i robi miny jak z niemego filmu.

MATKA Co ci jest, moje dziecko?

TERESA Ta parka z mojego pokoju ćwiczy to od rana do nocy. Chyba mają stracha, że ktoś wejdzie, tacy są przerażeni. A to przecież całkiem fajne. Muszę pokazać Dziadkowi taką śmieszną figurę, przy której oni zawsze się mylą. (*szeptem*) A raz to on jej nawet skradł całusa w tańcu. (*wychodzi tańcząc*)

Niedziela. Dwadrzewko siada za stołem i gada, rodzina Chłopca słucha go w milczeniu.

DWADRZEWO Aniela Pierwsza miała brata, Ignacego, który był kucharzem. Tak, tak, kucharzem, zawodowym, i śmierci się doczekał pięknej, bo zawodowej. Bo czy uwierzą mi państwo, jeśli powiem, że on umarł na patelni? Nie? A czemu? No to ja powiem tak: był pan Ignacy prawdziwym mistrzem kucharskim, jego sobie restauratorzy z rąk wyrwali, jednego dnia wolnego nie miał, kalendarz na dwa lata z góry zatrudnieniem przepełniony: wesela, chrzciny, zjazdy. A co się działo, kiedy jakaś państwowa głowa zapowiedziała swoją wizytę – tego ja wolę nie mówić!

Raz przed taką wizytą sam pan właściciel Stajn z hotelu „Europejskiego” przychodzi i mówi: „Daruj, mistrzu, ale musisz do mnie zaraz przyjść, obiadu doglądnąć, bo sprawa jest międzynarodowa, wielkie napięcie dyplomatyczne, więc żeby z tego później jakiej wojny nie było”. A pan Ignacy obłożnie chory w gorączce leży i ruszyć się z łóżka nie może. Więc Stajn ambulanś zamówił, żeby chorego w pościeli przewieźć, a w samym „Europejskim”, w kuchni, wielką patelnię gazową kazał nagrzać i tam Mistrza w cieple ułożył. No, cóż (*wzdycha*) obiad, można by rzec, bardzo się udał, chociaż podwójnie był dla nas tragiczny: po deserach znaleziono pana Ignacego bez ducha w jego patelni, a wojna... hm, wojna i bez tego obiadu... (*nagle markotnieje*)

Scena niema i w dodatku półprzezroczysta: mężczyzna z opowiadania Dwadrzewki ze słuchawkami na uszach słucha radia. Nagle zrywa się zdenerwowany, krzyczy. Światło to zapala się, to gaśnie, wszyscy biegają po domu nawołując się (bezgłośnie), ściany drżą od wybuchów.

Dziadek się goli: wojskowa postawa, zamaszyste ruchy. Najpierw mocuje na kłamce swój pas, żeby naostrzyć brzytwę, potem moczy pędzel w miseczce, mydli twarz, przeciąga brzytwą po policzku. W głębi pokoju jedna z Dwadrzewkowych kobiet czyta list.

DZIADEK (*śpiewa*) „Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat...”

Dziadek nagle urywa, ponieważ z przeciętego policzka zaczyna lecieć krew. Kobieta w głębi zgina się w pół z bólu, list wypada jej z ręki.

Teresa leży w swoim pokoju na „cholernym barłogu”, robi jointa. Obok, przy stole siedzi młody mężczyzna z opowiadania Dwadrzewki, rozkłada pistolet, uważnie czyści wszystkie jego części.

Kiedy pistolet jest znów złożony, chłopak celuje w Teresę, potem na moment, przykłada sobie lufę do czoła.

Teresa zapala skręta, wypala do połowy i machinalnie (a może właśnie nie machinalnie – w końcu nie wiadomo, jakie Teresa ma stosunki z duchami swojego pokoju) podaje go chłopakowi.

TERESA Jezuniu! Ale was zapudłował ten Dwadrzewko w swojej pamięci! (*obojętnie*) Ja tam nic nie pamiętam – żyję na bieżąco! Po każdym dniu spuszcza wodę, jak w toalecie, i całe gówno odpływa nie wiadomo dokąd. Proste! (*z niechęcią*) Tylko niekiedy mi się śni... miejsce... takie jedno... no, wiesz, to, w którym się urodziłam. W końcu miejsce jest niezbędne do tego, żeby się urodzić. Bardziej niż ojciec i matka. (*zamyka oczy*) To było miasto. Dziwne miasto zbudowane z dwóch warstw zupełnie sobie obcych i nieprzyjaznych (*ironicznie*) jedynie wodociągi zachowały całkowitą niewidzialność wobec sporu i, jak tajna policja, dyskretnie obsługiwały zmieniające się reżymy.

Miasto Pierwsze, zapis powolnego ruchu myśli, zaczynało się w jakimś czworobocznym centrum, choć mógł to być również kolisty plac, wzgórze lub wyspa w rozwidleniach rzeki, skąd ulice wypływają jak ze źródła, tocząc się kręto poprzez mosty we wszystkie strony świata.

Miasto Drugie powstało nagle, w jednej chwili, nie dłuższej niż parę dziesiątków lat, wykonane niechlujnie, i tak anonimowe, jak urzędowe obwieszczenie. Całe kwartały pozbawione były znaków szczególnych, przestrzeń nie ciążyła ku żadnemu miejscu, żadne niewidzialne centrum nie przywoływało ulic. Gdzieniedzie, jak spod warstwy złuszczonej farby, wyzierało Miasto Pierwsze: szyny zamierzchłych linii tramwajowych przecinały chodniki i znikwały w fasadach domów, a na śródmiejskich pustkowiach zarośniętych wysoką trawą pojawiały się nieoczekiwane wytworne pojazdy i marmurowe krawężniki. Nowe ulice ledwie trzymały się śladów starych, pokrywając dawną fizjonomię miasta stęzającym grymasem apoplektyka.

Byłam starsza od wszystkich otaczających mnie domów, byłam nawet starsza od okolicznych pagórków! Pamiętam przecież, jak rosły, wagonik za wagonikiem, usypywane z intymnej zawartości opuszczonych mieszkań, z poturbowanej ludzkiej pamięci, która złożona z rzeczy połamanych i niepotrzebnych nadaje się już, na koniec, tylko do tego, żeby z niej zrobić wielką górę – w sam raz do zjeżdżania zimą na sankach!

Najokazalsze było Wzgórze Generała Noska. Kiedy padał deszcz i zmywał ziemię ze stoków, ukazywały się niebieskie ornamenty Zwiebelmuster, porcelanowe kapsle od butelek z czerwonym napisem „C. Kipke Braurei – Breslau, 1844”, obtłuczone korpusy maleńkich laleczek, kościane szczoteczki do zębów, szczątki waz i kubków z obcymi napisami. Góra odsłaniała nam znaki, których sensu nie mogliśmy wtedy pojąć: dwa skrzyżowane miecze, Merkurstab, sygnaturę Kaendlera i berlińskie berło królewskie...

... A w naszej kamienicy sąsiad Poratycki wył po nocach. Matka mówiła, że on choruje na pamięć – chyba za dużo jej miał czy jak, bo głowę sobie ścisnął rękami i wył. Raz mówił do niego: „Panie Poratycki, to niedobrze tak całą pamięć w głowie trzymać. Trzeba ją na śmietnik... albo może górkę dla dzieci usypać? (*zanoszą się na dłużej najgłupszym ze swoich chichotów*)

Ojciec i Matka leżą na wersalce, gotowi do snu. Ojciec rozwiązuje krzyżówkę.

W „nogach” wersalki siedzi Antoni Piąty, syn Anieli, klei model samolotu.

OJCIEC „Lata w powietrzu”, pionowo.

MATKA Słuchaj no, czy ciebie nigdy nie zastanowiło, dlaczego oni tu są?

OJCIEC A kto tu jest? (*rozgląda się zdziwiony*)

MATKA No jak to, kto? Te wszystkie kobiety, dzieci, mężczyźni...

OJCIEC A, oni! Eee, nad czym się tu zastanawiać? Przyjechał ten cholerny Dwadrzewko na tym swoim przedwojennym rowerze, naopowiadał, naopowiadał, i teraz wszyscy musimy się męczyć. Ot, co!

MATKA Nie, nie, to nie to! W tym musi coś być, ja ci mówię! Mnie się zdaje, Alfredzie, że tutaj czas się zastał! (*bezwiednie zaczyna mówić, jak Dwadrzewko*) Zna czy, nie od razu – wpięrw on sobie płynął i płynął powoli, jak strużka lipowego miodu, taki pachnący, prześwietlony słońcem, a oni wszyscy płynęli razem z nim, skapani w życiodajnej strudze: i Aniela Pierwsza, i pani Celina, i Jan Trzeci, i nawet ten Dwadrzewko, ja ci mówię, że on też tam płynął razem z nimi. A potem, nagle coś się musiało stać (*prerażona*), coś strasznego, Alfredzie, coś niewyobrażalnego, co sprawiło, że ten ich czas w jednej sekundzie zwarzył się, zgęstniał i zastygł na kamień, a oni... oni zostali w nim na zawsze, jak owady w kawałku żywicy.

OJCIEC Owady, mówisz? Nie, nie pasuje, za mało liter.

Antoni właśnie skończył kleić swój model, puszcza go, samolot spada na gazetę Ojca.

OJCIEC Aaaa, „samolot” no, właśnie! (*zwracając się do Matki*) Coś mówiłaś, kochanie? Coś się zwarzyło?

MATKA (*mówi jak w transie*) Coagulatio temporis! Zakrzepły czas! Jakies wydarzenie, tak strasne, że nie może go unieść nurt czasu... Co to było takiego, Alfredzie, co nie odpłynęło z dniami, co wytrąciło się, jak ciężki osad, którego nie da się już zmyć?

Noc. Ojciec śpi niespokojnie, chrapie, rzezi, a pauzy między jednym haustem powietrza a drugim stają się dramatycznie długie.

Nagle jego postać rozwarstwia się i półprzezroczysty duplikat Ojca (w tej scenie jest „Alfredem”) podnosi się z wersalki i jak klasyczna senna zmora siada okrakiem na piersiach Ojca.

OJCIEC Alfredzie? Alfredzie... to ty? Skąd się tutaj wzięłeś? Dwadrzewko... przecież on nic nie wie! To nie przez niego, prawda, Alfredzie?

ALFRED To przez ten dom! Idealne miejsce na spotkanie! Lepszego nie mógłbym znaleźć. (*z wyrzutem*) A wiesz, już myślałem, że to nigdy nie nastąpi – bo ty ciągle gdzieś się przeprowadzasz albo rozwiązujesz krzyżówki! Ale ten dom to co innego. Tutaj nareszcie będziemy mogli być razem... wszyscy! Tak, jak wtedy, pamiętasz?

OJCIEC (*rżenie się nasila, po chwili ustępuje*) Czy oni jeszcze tam są?

ALFRED (*uradowany*) A więc pamiętasz! Wiedziałem! Oni też myśleli, że będziesz pamiętał. Ona... wiesz, ona co sobota piekła chleb z kminkiem, żebyś „po zapachu trafił” – mówiła. A on znowóż noc w noc drzwi na rozcież otwierał, że niby pukania mogliby nie usłyszeć. Złodzieje ze dwa razy ich okradli, ale potem dali spokój, bo co Oni tam mogli mieć? Tylko koty przychodziły grzać się do sieni.

OJCIEC Ale... czy Oni ciągle tam są, powiedz?

ALFRED Prawdę rzekłszy, to ich tam już całkiem nie ma – najpierw Stara, ot, w kuczy na zydłu przysnęła, i już jej nie dobudzili. A Stary... hm (*zakłopotany*) dziewięćdziesiątki dobiegał, a Pana Boga zachciało mu się poprawić! Wstyd powiedzieć, Alfredzie, ale... powiesił się Stary.

Ojciec dusi się nie na żarty.

ALFRED Ludzie mówią, że to od twojej niepamięci Starzy pomarli, żeś ty o nich ani razu nie wspomniął – ani sobie, ani innym. (*zdumiony*) Jakże tak? Czyżby Oni tam nigdy owej gęstości istnienia nie zaznali, tego arcykonturu, jakiego nabiera wszystko, czemu przytrafi się zaszczyt bycia opowiedzianym? Czy nie wpadli w wir fabuły, który jak trąba powietrzna oderwałby ich od miejsca i czasu, uniósł w

górze, by odtąd mogli przenosić się wszędzie wraz z tobą i już nie opuszczać, ani na chwilę? (z niesmakiem) Poskapiłeś im anegdoty? Tej okruszyny od ust sobie nie odjąłeś, co by im dwójgu za całą wieczność starczyła?

OJCIEC (*ostatkiem sił*) Puść mnie! Puść, Alfredzie!

MATKA (*histerycznie*) Puść mnie, Alfredzie! O, Jezu, o mało mnie nie udusiłeś, ledwie żyję! (*tapie z trudem powietrze*) Najadłeś się za dużo smażonego, mówię ci, to od żołądka masz takie złe sny.

OJCIEC (*dochodząc do siebie*) To nie od żołądka, nie, to jest... ja... oni... (*łamiąc mu się głos, a po chwili już mówi twardo*) To wszystko przez tego Dwadrzewkę! (*crescendo*) Tak, wszystko przez niego! Trzeba by już raz zrobić porządek z takimi jak on! Ostateczny porządek! Wślizgują się tacy do obcego domu, jak robactwo, podstępnie, nie budząc podejrzeń, a potem śmiało, dalej, aż opanują go całkiem, od fundamentów aż po dach, aż zrujniają jego zdrową tkankę...

Dziadek, ubrany jak do drogi, w starym wojskowym palcie, w oficerkach, chodzi od ściany do ściany, podniecony, zdeterminowany, owładnięty obsesją. W głębi pokoju, przed lustrem, stoi naga kobieta i czesze włosy. Gdyby nie to, że kobieta jest półprzezroczysta, można by pomyśleć, że ona i Dziadek... hm...

DZIADEK Nie, ani słowa, to nieodwołalne, to rozkaz! Postanowiłem wrócić... tak, właśnie teraz, kiedy śmierć mruga na mnie miłośnicie swoim wielkim okiem z dna każdej filiżanki kawy pitej do śniadania... I kiedy woła: „Wejdz we mnie, wejdz, zanurz się w mojej czarnej żrenicy, dam ci rozkosz niepamięci!” Innej drogi już nie ma, dlatego opuszczam was, towarzysze wojenni, bezżębni pogromcy klusek z serem, co widelec wciąż jak szablę trzymacie (*zniża głos*), bo ja jeszcze przed świtem do Miasta muszę zdążyć i misję arcyważną, arcytajną wypełnić! Misję skupienia na powrót w jedno miejsce tego, co czas, wojny, a i ja sam, tak bezkarnie po świecie rozwłóczył. Trzeba mi teraz samemu po śladach własnych wrócić, a Świętojańską ulicą przeszedłszy, od Zaułka Gamcarskiego, przez Rynek przejść i parkową ścieżką raz jeszcze, ostatni, do Zamku się wspiać, raz jeszcze wejść w ów letni wieczór, by potem w siebie samego wstąpiwszy, tę jedną, jedyłą, ukochaną moją objąć, we łzach jej się przejrzeć i powiedzieć: „Oto wróciłem, miła, jakem obiecał”.

W kuchni za stołem siedzą: Chłopiec i Dwadrzewko. Na tym samym stole półprzezroczysta kobieta miesi ciasto. Pod stołem siedzi mała dziewczynka – ubiera w stare gałganki długą tyjkę do butów i bawi się nią jak lalką.

DWADRZEWKO ... natomiast Jan Trzeci ożenił się z Zuzanną Fartuszkówną – tak ją nazywano, bo jej matka miała sklepik ze szkolnymi fartuchami niedaleko stąd. Mieli dwie córki, Justysię i Jankę, lecz ja się kolegowalem z ich synem Antonim Piątym. Ale trzeba ci wiedzieć, że byliśmy obaj (*zniża głos*) zakopywaczami skarbów. A, tak, zakopywaczami! Wynosiliśmy z domu srebrne sztućce i zegary i zakopywaliśmy w ogrodzie, żeby potem, wedle mapy zrobionej na kawałkach starych skór, móc to wszystko odnaleźć i z drzeniem serca wydobyć z ziemi. A wiesz ty, co? Zdaje mi się, że nasz ostatni skarb ciagle jeszcze gdzieś tam leży w ogrodzie. Nie zdążyliśmy go wykopać, zanim... (*milknie, zamyśla się, potem chrząka długo, jakby coś utkwiło mu w gardle*)

CHŁOPIEC Jednego nie rozumiem: przecież wszyscy ci ludzie, o których tyle pan opowiada, to nie byli pańscy krewni, prawda? Dlaczego nigdy ani słowem nie wspomni pan o swoich rodzicach, o rodzeństwie, jak oni żyli i gdzie są teraz...

DWADRZEWKO (*kładzie mu palec na ustach*) Sza! Sza! Ten dom to moja najlepsza rodzina! Najlepsza matka, ojciec, bracia. A ja jestem jak ślepe szczenię – zawsze będzie mnie ciągnąć do zapachu tej kuchni i do tego ciepła na werandzie.

Kiedy miałem tyle lat, co ty – tak, to było gdzieś między szóstym i siódmym rokiem życia – przybiegłem tu raz, po zmroku. Strzelali za mną, ale ja dobiegłem. Stałem tu, gdzie ty teraz stoisz, a domownicy otoczyli mnie krzycząc z przerażenia. Nie wiedziałem, co się ze mną stanie! I wtedy dom przygarnął mnie, wchłonał, schronił w swoim wnętrzu, ale tak, jak jeszcze nigdy nikogo – żyłem w jego ścianach, pod podłogami, w czeluściach jego piwnicznych korzeni, w najtajniejszych splotach dachu. I wiesz, co? Słyszałem, jak ten dom żyje, jak szepcze i wzdycha, jak się złości, jak drży z gniewu, kiedy nadciąga burza albo jak skrzypi leniwie w gorące letnie noce. Minęły miesiące, może lata, i zaczęło mi się здаwać, że to ja sam jestem domem, i że ci wszyscy ludzie mieszkają we mnie.

Chłopiec śpi w swoim pokoju, nagle siada na łóżku i zaczyna przeraźliwie krzyczeć. Drzwi otwierają się z hukiem, do pokoju wpadają uzbrojeni żołnierze, przeszukują pokój. Chłopiec jest dla nich zupełnie niewidzialny.

Noc. W kuchni stoi Zuzanna z dziećmi. Obok niej hitlerowscy żandarmi i oficer. Są najzupełniej realni, słychać, co mówią.

W tej jednej, jedynej scenie półprzezroczysta jest tylko rodzina Chłopca – wyrwani ze snu patrzą z przerażeniem na to, co dzieje się w kuchni.

ZUZANNA (*przygarniając do siebie płaczącą Justynę i Jankę; Antoni stoi obok*) To na pewno jakaś pomyłka! Nikogo obcego tutaj nie ma.

ZANDARM Kłamiesz! Ukrywacie Żydów.

ZUZANNA Nikogo nie ukrywamy. Mieszkam tu sama... tylko z dziećmi.

ZANDARM A gdzie mąż?

ZUZANNA Zginał, jeszcze we wrześnie.

ZANDARM (*przyglądając się Antoniemu*) A to kto?

ZUZANNA Mój syn, Antoni.

ZANDARM Podobny. Masz szczęście, że podobny.

Zandarm nachyla się i wyjmując z rąk Justyny jej gałgankową niby-lalkę. Maca z zaciekawieniem, potem jednym ruchem wyciąga ze szmat tyjkę do butów. Wybuch śmiechem.

NIEMIECKI OFICER Co ona mówi?

ZANDARM Ze nikogo tu nie ma oprócz niej i dzieci.

NIEMIECKI OFICER Tak, tak, dzieci... O to właśnie chodzi. Sąsiedzi widzieli, jak ten chłopak od Cwajbaumów biegł tutaj. (*zniecierpliwiony*) Wyprowadźcie ich, a my jeszcze poszukamy.

Zandarm wyprowadza Zuzannę z dziećmi przez werandę do ogrodu. Strzały – jeden, drugi, trzeci, czwarty, a potem jeszcze jeden.

Obiad niedzielny. Pokój wygląda na opustoszały, przy stole siedzą tylko: Matka, Ojciec i Chłopiec. Jedzą w milczeniu.

MĘZCZYŻNA Po tamtej nocy rozpętała się w naszym domu prawdziwa zawierucha: Babcia umarła w połowie nowego serialu, Teresa wyszła za mąż i wyjechała do Ameryki. Jest bardzo zadowolona, bo bez przerwy gdzieś się przeprowadza i za każdym razem musi kupować nowe meble. „Tu jest zakaz starzenia się” – píše Teresa, i na dowód przesyła nam swoje zdjęcia, na których wygląda jak mała dziewczynka w śmiesznym kolorowym kapeluszu.

Dziadkowi zupełnie pomieszało się w głowie, więc rodzice oddali go do domu starców. Siedzi tam przez cały czas na łóżku, ubrany jak do drogi, z walizką na kolanach. Powtarza, że musi wrócić, ale chyba nie do nas, bo nas już wcale nie widzi, jakbyśmy nagle stali się zupełnie przezroczystymi.

A potem Ojciec sprzedał dom. Wyprowadzamy się.

W pustej jadalni stoi Chłopiec. Wchodzi Dwadrzewko.
CHŁOPIEC Wyprowadzamy się, panie Dwadrzewko! Do widzenia! I proszę zachować nas w swojej pamięci!
DWADRZEWKO Ja myślę, że ten dom najlepiej zachowa nas wszystkich: i ciebie, i twoją Babcie, i mnie – dla każdego znajdzie się miejsce.
CHŁOPIEC I dla Teresy także?
DWADRZEWKO O, tak, dla Teresy także!
CHŁOPIEC I nawet dla tych ludzi, którzy przyszli tu w nocy?
DWADRZEWKO Nawet dla nich.
CHŁOPIEC Czy ludzie są duszą domów?
DWADRZEWKO Tego nie wiem, ale powiem ci w sekrecie, chłopcze, że moja własna dusza jest, hm, jakby to powiedzieć, ona jest miejscem! Niczym więcej!
No, cóż, taki mnie spotkał los!
CHŁOPIEC Panie Dwadrzewko! Chciałbym pana o coś prosić!
DWADRZEWKO Słucham cię, chłopcze!
CHŁOPIEC Kiedy będzie pan opowiadał o naszym życiu nowym właścicielom, to niech pan im powie, że ten chłopiec w pokoju na piętrze, no wie pan, ten, który krzyczy... ze strachu, że będzie sam... że to wcale nie jestem ja! Bo mnie już nic nie uwiera w gardle! (*dzielnie tłumi w sobie łzy*) I niech sobie umierają... wszyscy... kiedy chcą!
DWADRZEWKO Sza! Już dobrze! Tylko pamiętaj, że zawsze możesz tutaj wrócić!
Do zobaczenia, chłopcze!
CHŁOPIEC Do zobaczenia, panie Dwadrzewko!

Szpitalny korytarz, jak w pierwszej scenie.

POSTAC Proszę pana! Czy pan się dobrze czuje! Może przynieść panu wody?
MEZCZYŻNA (*chrząka*) Nie, nie, dziękuję. To gardło, od lat nie miałem z tym kłopotów, aż tu nagle... Muszę już iść. I dziękuję, za wszystko dziękuję... Do zobaczenia, panie... (*urywa zakłopotany*)

Koniec